

W ostatnią sobotę w Operze Warszawskiej wybuchła bomba. Na szczęście nie plastikowa. Bomba z muzyką, śpiewem, tańcem, dramatem (i melodramatem); z muzyką klasyczną, romantyczną, punktualistyczną, elektroniczną, konkretną, egzotyyczną, jazzową i podwórkową; z sambą, boogie-woogie, twistem i madisonem; z operą, operetką, wodewilem, rewią, kabaretem i teatrem chińskich cieni; z rajem zakochanych, astronautami i rakieta kosmiczną; była wreszcie w tej bombie i sex-bomba — Białowłosa.

„Białowłosa” jest muzyczną satką sceniczną, swaną w Ameryce „musicalem”. Pierwszy polski musical rozzerszył tę romantyczność do rozmiarów łańca komicznych.

Zaczął się od szumu około startu rakiety, ale zaraz potem okazało się, że nie o raketę chodzi, ale o dziewczynę, co się rzuca pod rozpędzony samochód. Ale ledwo zaczęliśmy ją opłakiwać, okazało się, że żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Ote raj zakochanych na planecie X; musi być tam bardzo gorąco, bo jej mieszkańcy, choć zupełnie nadzy, poruszają się niemiara i ospale. Jest wśród nich Białowłosa. Nie tańczy — śpiewa. Bo językiem, którym porozumiewają się ze sobą Białowłosi, jest śpiew. Kto najpiękniej śpiewa dostaje najpiękniejszą dziewczynę. Szychać wartok rakiety kosmicznej — przybywają astronauty. I naj-

piękniej śpiewający astronauta — Robert — staje się posiadaczem Białowłosej. Miał chłopak szczęście. Gdyby trafił do kraju, gdzie nagradza się w ten sposób najpiękniej recytujących, zaręczam, że musiałby odpaść w pierwszych eliminacjach. Zadnych szans nie mieliaby też jego koledecy, z których jeden się jakakolwiek, drugi kresowo zaciągał, a

nad 5 minut) — prawdopodobnie ze względu na przeprowadzaną w tym czasie zmianę dekoracji — orkiestrowym interludium mamy pierwszy „numer”, numer prawdziwie popisowy. „Ballada o klarncie” jest majstersztykiem dobrego smaku, humoru i parodi. Po balladzie był występ Białowłosej, która tymczasem znalazła zatrudnienie w nocnym lo-

fantazja pomieszała się z rzeczywistością, liryczny motyw powtarzany wielokrotnie refrenu Białowłosej z kabaretową piosenką śpiewana przez ładnie rozebrana Siostry Struks: „Z przodu nie, z tyłu nic, ale za to, co pan na to, jak się ma to, nie ma po co kryć”. Mimo to (a może właśnie dlatego) udało im się ukryć przed milicjantem dokonany właśnie mord koleżeński. Mord był zresztą — jak zawsze — niepotrzebny, Białowłosa uprowadził Ekspert — „ten trzeci”.

Epilog. Przed Epilogiem interludium długie i głośne. Tak głośne, że publiczność uważa za stosowne klaskać. I znowu — jak w prologu — jakiś fragment wielkiego miasta. Ekspert po dokonaniu „ekspertyzy” żegna Białowłosa, której po nieprzespanej nocy roją się senne widziadła: to jakiś muzyk jazzowy, grający na kwadratowej trąbce melodie z „Amerykanina w Paryżu”, to jakiś pianista-wirtuoz, który w zawrotnym tempie przebiega najpierw klawiaturę fortepianu a potem scenę. Śni się jej także nasz czolowy tenor Bogdan Paprocki w greckiej spódnice i z lirą, Ale wszyscy odchodzą. I wtedy staje się rzecz najgorsza jaka mogła się stać: Poeta przykleja Białowłosej bardzo brzydkią etykietkę. O ile zdołałem się zorientować, interesowało się nią koleje dwóch, najwyższej trzech panów (niełatwo to ściśle stwierdzić, bo wszyscy byli jednakowo

ubrani i do siebie podobni) — to jeszcze nie powód, żeby nazywać dziewczynę „dziwką” — i to w publicznym miejscu!

Białowłosa kończy tragicznie — pod kołami pędzącego samochodu. W ten sposób powróciliśmy do miejsca, w którym rozpoczęła się akcja dramatu. Bo „Białowłosa” jest w gruncie rzeczy dramatem, wcale niewesołą opowieścią o „wykańczaniu” jednostek skrojonych nie podług standardowego modelu naszej unifikacyjnej cywilizacji. I wyszlibyśmy z przedstawienia bardzo smutni, gdyby nie końcowa scena w odejściu ostatniego tramwaju, które Poeta przeżywa równie silnie jak śmierć Białowłosej. To „przymrużenie oka” było bardzo potrzebne. Pozwoliło i nam potraktować z przymrużeniem oka komiczny musical Henryka Czyża.

TADEUSZ KACZYŃSKI

Henryk Czyż: „Białowłosa”, musical w 2 aktach i prologiem i epilogiem. Realizacja: Wowo Bielecki, Henryk Czyż, Witold Grucal. Opera Warszawska, premiera 24. XI. 1962 r.

BIAŁOWŁOSA

trzeci musiał chyba pochodzić z Targówka, bo mówił o „szczęśliwym powrocie”. Ale to już było w drugim akcie, w czasie bankietu z okazji szczęśliwego powrotu ekspedycji, która nie dała wprowadzić naukowych rezultatów, ale przywozła ze sobą Białowłosa. Jest więc co oblać, obtańczyć. W takt muzyki poruszają się nawet białe posagi (kiedy stały nieruchomo, przysiągłbym, że są prawdziwe), które podobnie jak towarzyszące wszystkim obecnym panom czarne pieski, nie mają dramaturgicznego uzasadnienia w ramach całości, ale też i ta całość zaczyna się powoli rwać, ustępując miejsca łańcuszkowi mniej lub bardziej luźno powiązanych ze sobą „numerów”. Po długim (po-

kalu, występ przerwany sprzeczką astronautów, dawniej przyjaźni a teraz rywali. Sprzeczka kończy się jak w „Eugeniuszu Onieginie”, tylko śnieg „puszczone” nie w tym miejscu. Jeszcze przedtem była duża liryczna aria, też jak z „Oniegina” albo raczej z „Casanowy” Różyckiego. Gdy śpiewak skończył tę arję, Edmund Fetting (Poeta) powiedział do Henryka Czyża (kompozytor, librecista, dyrygent): „za bardzo melodramatyzujesz!” — i miał rację. Potem odtańczył małego sztajerka (Fetting, nie Czyż) i rozpoczął recytowanie wiersza pt. „Odegnajcie sny”. I okazało się, jak mało poezja może: jakby na przekór tym słowom nolałyby się na scenie senne postaci z planety Białowłosych,

SZTANDAR MŁODYCH
ze zb. J. St. Witkiewicza